

Łosiewicz-Chmurowa, Zofia

Gimnazjum w mieście Pruszkowie

Przegląd Pruszkowski nr 1, 9-23

1981

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

ZOFIA ŁOSIEWICZ-CHMUROWA

GIMNAZJUM W MIEŚCIE PRUSZKOWIE

Moment przełomowy w dziejach Pruszkowa, jednego z głównych ośrodków przemysłowych w województwie warszawskim, stanowiło nadanie mu praw miejskich w 1916 roku. Nie ulega wątpliwości, że na awans ten Pruszków w pełni zasługiwał, skoro w pięć lat po uzyskaniu praw miejskich, a w trzy lata po odzyskaniu niepodległości Polski — ojcowie miasta postarali się o zorganizowanie pierwszej szkoły średniej, czym dowiedli szlachetnych aspiracji pruszkowiaków.

Treść „Aktu organizacyjnego” Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego z 10 listopada 1921 roku, zarówno z uwagi na jej fundamentalne znaczenie, jak i szokujący na dzisiejszy gust styl — przytoczmy w całości:

„W trosce o umożliwienie średniego wykształcenia młodzieży płci obojga miasta Pruszkowa i jego okolic, założyło Ministerstwo W.R. i O.P. państwowe gimnazjum koedukacyjne w mieście Pruszkowie.

Aby młodzież, kształcąca się w tej nowej uczelni, mogła mieć zawsze przed oczami szczytny wzór umiłowania wiedzy i doskonałości cnót obywatelskich oraz cześć dla ideałów narodowych i społecznych, nadaje nowej uczelni nazwę: „Gimnazjum państwowe imienia Tomasz Zana”, wielkiego twórcy niezapomnianych związków Filomatów i Filaretów”. — Akt w zastępstwie ministra podpisał podsekretarz stanu P. Łopuszański.

Cytowany wyżej dokument powołuje nowe gimnazjum i jednocześnie nadaje mu imię, co stanowi swego rodzaju ciekawostkę dla nas, bowiem w aktualnie powstających szkołach sprawa nadania imienia jest przedmiotem dyskusji w gronie pedagogów i młodzieży, sam zaś moment nadania imienia ma zwykle miejsce najwcześniej w kilka miesięcy po otwarciu szkoły. Być może jednak, że w latach dwudziestych nadawano imię szkole w trybie administracyjnym.

Tak czy owak, ciekawe, czemu dla jednej ogólnokształcącej szkoły średniej w Pruszkowie wybrano na patrona właśnie Tomasza Zana, który — acz niewątpliwie zasłużony, znany jest w historii przede wszystkim jako przyjaciel Mickiewicza, a więc pamięć jego jest opro-

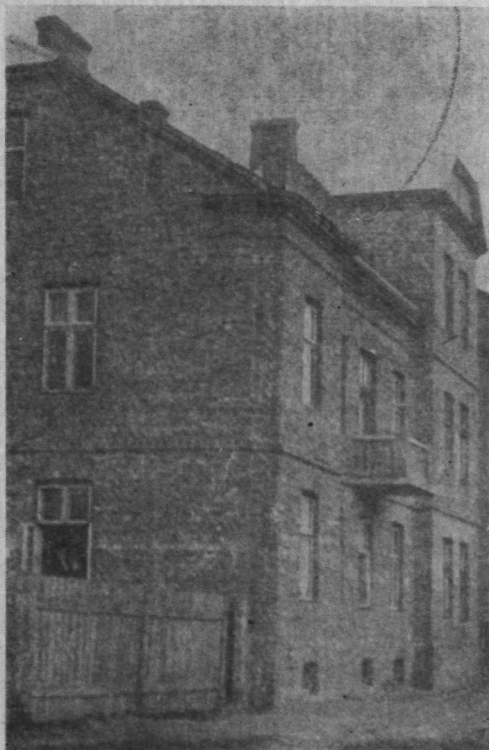
mieniona blaskiem niejako wtórnym. Jest przecież ogólnie znaną prawdą, że im mniejsze miasto, tym potężniejszych patronów wybiera dla swych szkół. Pruszków w 1921 roku, to jest w momencie powstania gimnazjum, liczył niewiele ponad 15 tysięcy mieszkańców, a choć w miarę wpływu lat przybywało ludności — w grodzie nad Utratą sprawdzała się w całej rozciągłości zasada potężnych patronów dla szkół. Potwierdzenie tego widać na przykładzie szkół podstawowych, powszechnych — według nomenklatury dwudziestolecia międzywojennego. Patronami „powszechniaków” w Pruszkowie byli: Stanisław Żółkiewski, Tadeusz Kościuszko, Józef Piłsudski, Maria Curie-Skłodowska, Maria Konopnicka i Henryk Sienkiewicz. Tomasz Zan, choć przyjaciel Mickiewicza, ale poeta wcale nie pierwszej wielkości, wslawiony głównie jako współzałożyciel towarzystwa filomatów, założyciel i przywódca Koła Promienistych oraz prezes towarzystwa filaretów — na tle innych patronów szkół pruszkowskich, geniuszów oręża, nauki i pióra, prezentuje się dość blade. Z drugiej wszakże strony musiało być coś nieprzeciętnego w jego osobowości, jeśli Stanisława Ostrowska pierwsza nauczycielka jęz. polskiego była na tyle zafascynowana jego postacią, że napisała jego biografię, wydaną w formie niewielkiej objętościowo książeczki. Ciekawe, co tu było przyczyną, a co skutkiem: czy zainteresowane pani Ostrowskiej Zanem narodziło się w momencie nadania pruszkowskiej szkole jego imienia, czy też — będąc wielbicelką Zana — Stasia podsunęła odnośnym władzom ideę ochrzczenia szkoły w Pruszkowie jego imieniem. Jakkolwiek jednak było, Zan okazał się solidnym patronem, bo zainteresowania humanistyczne w naszej szkole kwitły zawsze, wydając imponujące owoce.

W Księdze Przyjęć, gdzie rejestrowano wszystkich uczniów od momentu otwarcia gimnazjum Zana i którą prowadzi się do dnia dzisiejszego, pod datą 1 września 1921 roku widnieją nazwiska 245 pierwszych zaniaków, mających za sobą pomyślnie złożony egzamin do klasy pierwszej. Listę tę otwiera koleżanka Albrecht Wanda.

Siedzibę „nowej uczelni” stanowił niewielki dom czynszowy przy ulicy Narodowej 23; pierwszym dyrektorem został mianowany Bolesław Woyde, który urząd swój sprawował w gimnazjum pruszkowskim tylko przez rok, obejmując następnie stanowisko dyrektora gimnazjum im. J. Lelewela w Warszawie. Funkcję dyrektora przejął po nim w roku szkolnym 1922/23 Bolesław Jakubowski, polonista. Prócz niego w skład ciała pedagogicznego weszli następujący profesorowie: Cz. Babicki, p. Chodasiewiczowa, p. Słupska, p. Dornfest — germanista, matematykę wykładał Leon Ostrowski (przydomek: Baran); w arka mowy ojczystej wprowadzała gimnazjalistów Stanisława Ostrowska (przydomek: Stasia); p. Wieczorkiewicz nauczał fizyki, p. Mikulski (przydomek: Trąbka) — geografii, nauka religii była domeną księdza prefekta Duczyńskiego, zaś rysunki i śpiew prowadził Wacław Prusak. Trzy osoby z tego pierwszego składu rady pedagogicznej na zawsze związały się z Pruszkowem i z gimnazjum Zana. Byli to: Stanisława i Leon Ostrowscy oraz Wacław Prusak. Dla trzech pokoleń zaniaków ich sylwetki były integralną częścią szkoły, sądząc zatem, że to zobowiązuje do poświęcenia każdemu z nich po garstce wspomnień.

A więc „Stasia”: była niewątpliwie duszą tej szkoły. Jej dziełem była panująca tu atmosfera, ona to potrafiła rozniecić zainteresowanie literaturą, które u wielu wychowanków pozostało na całe życie, ustawiając ich późniejsze kariery i wybór zawodu. Jako pedagog bardzo wymagająca, dzięki czemu każdy, kto przeszedł przez jej ręce, umiał logicznie i poprawnie wypisać się w mowie ojczystej.

Była pani Ostrowska jakby osobą z poprzedniej epoki. Trochę egzaltowana, dość arbitralna w sądach, zawsze sprowadzająca dyskusję do konkluzji uznanych przez nią za słuszne. Niezmiernie entuzjazmowała się wszystkim co wielkie, szlachetne i wybiegające ponad przeciętność, z tym wszakże, że musiało być to zgodne z uznanymi przez nią normami moralnymi. Była przy tym pani Ostrowska szczerą, gorącą patriotką i pedagogiem oddanym bez reszty sprawie wychowywania młodzieży. W jej powierzchowności, sposobie poruszania się i aurze, jaką wokół siebie wytwarzała, było coś odrobinę romantycznego, jakaś subtelność, a jednocześnie silna indywidualność, nie narzucająca się, lecz zmuszająca do szacunku. Poruszała się lekko, zawsze szybkim, młodzieńczym krokiem, uśmiechnięta i życzliwa. I taką pozostała do końca.



*Budynek Gimnazjum i Liceum im. T. Zana
w Pruszkowie przy ul. Narodowej w la-
tach 1921—30*

Postacią kontrastowo różną był Leon Ostrowski, mąż pani Stanisławy, nauczyciel a następnie wieloletni dyrektor Gimnazjum imienia Tomasza Zana. Wykładał matematykę, traktując swój przedmiot bardzo serio i wymagając od młodzieży solidnej pracy.

W latach dwudziestych był pan Ostrowski mężczyzną w pełni sił, energicznym i przystojnym, o nieco egzotycznym typie urody przez niezwykle bujną, kędzierzawą, czarną czuprynę. Ta właśnie czupryna zyskała mu przydomek „Baran”. Wprawdzie potem na skutek choroby stracił na przeciąg kilku lat włosy, które choć potem odrosły wcale nie kędzierzawe — do końca swojej kariery pozostał pan Ostrowski dla kilku pokoleń zaniaków Baranem.

Nie należał do pedagogów przystępnych, budził respekt zmieszany trochę ze strachem. Lecz kierowane jego ręką gimnazjum było wzorem karności i zdyscyplinowania, zaś wysoki poziom nauczania dawał wspaniałe plony przy uzyskiwaniu przez wychowanków indeksów akademickich.

Dopiero lata wojny zmieniły sposób bycia pana Ostrowskiego. Ci, których uczył matematyki na tajnych kompletach, ledwie mogli poznać w tym spokojnym, życzliwie uśmiechniętym profesorze dawnego „dyra”, szorstkiego i traktującego uczniów z ogromnym dystansem. Warunki tajnego nauczania ujawniły cechy Barana, o jakie nikt z jego uczniów nigdy by go nie posądził. Okazało się, że jest kapitalnym gawędziarzem, dowcipnym i bystrym obserwatorem ludzi i wydarzeń, błyskotliwym dyskutantem nie schodzącym nigdy z pozycji żelaznej logiki i realizmu. Ale miało to miejsce dopiero w czasie okupacji i nie wszyscy wychowankowie gimnazjum Zana mieli okazję poznać to odmienione oblicze Barana.

Wacław Prusak, prowadzący lekcje śpiewu i rysunku, był — jak to wynika z zakresu jego obowiązków — wszechstronnie uzdolniony. Miał dobry głos i niewątpliwie predyspozycje malarskie. Śpiewał czasem w warszawskiej operze, o czym wspominał z satysfakcją, brał też chętnie udział w różnych estradowych imprezach na cele dobroczynne organizowanych przez ojców miasta Pruszkowa. Śpiewał także w obu kościołach pruszkowskich z racji uroczystych nabożeństw, świąt i innych okazji. Jednak jego popularność wokalisty nie przekroczyła granic Pruszkowa i najbliższych okolic.

Podobnie rzecz miała się z malarstwem pana Prusaka. Mimo wielu wystaw jego prac, które urządzone były i w Pruszkowie i w Warszawie — nie było mu danym zdobycie poważniejszych sukcesów, choć niektóre jego prace miały swoistą atmosferę romantyzmu, jakby uduchowienia, przyciągały wzrok i skłaniały do refleksji. Również życie osobiste pana Wacława pod złymi auspicjami płynęło. Ciosem, który zaważył na jego losach, była śmierć narzeczonej, panny Karoliny Szymańskiej. Po jej stracie przekreślił osobiste szanse, pozostając do końca życia kawalerem. Opiekował się bardzo troskliwie matką, a gdy tej zabrakło, został sam. Przemierzał Pruszków na swym nieodłącznym rowerze, skromny, lecz noszący się z godnością, zawsze życzliwie nastrojony do wszystkich. Był człowiekiem wielkiej dobroci, łagodnym i wyrozumiałym dla innych, surowym i wymagającym dla siebie.

Należał do najbardziej lubianych wykładowców, zarówno dla jego eksperencji w zakresie malarstwa i śpiewu, jak też umiejętności przekazywania swojej wiedzy uczniom. Potrafił nauczyć patrzenia na malarstwo i przystępnie wyjawiać jego tajniki, podobnie umiał przelać umiejętność słuchania muzyki i odsłaniać tajniki solfeżu.

Na terenie gimnazjum Zana był inspiratorem, organizatorem i współwykonawcą wszelkich akcji z pogranicza sztuki od chóru szkolnego począwszy aż po dekorowanie sal szkolnych i przygotowanie dekoracji do spektakli, akademii i obchodów. Mimo jego wszechstronnej użyteczności dla szkoły, bezinteresownej gotowości służenia radą i po-

mocą zawsze, kiedy tylko zaistniała potrzeba — pozostawał pan Prusak i na tym terenie w cieniu innych profesorów — swych kolegów, niejako na drugim planie. Niech więc te słowa będą skromnym hołdem złożonym przez wychowanków jego pamięci.

Powróćmy jednak do roku 1921 i przypatrzmy się początkom naszej zacnej, kochanej „budy”. Początki gimnazjum w Pruszkowie opisała w swych wspomnieniach pani Ostrowska, świadek i uczestnik wydarzeń. Oddajmy więc jej głos:

„Z Pruszkowem zrosło się moje życie. Z odległych wspomnień wczesnego dzieciństwa słyszę jeszcze piosenkę, którą nuciłam moim lalkom; piosenkę, która zapewne najbardziej mi się podobała, jeśli i dziś jeszcze przypominam ją sobie:

Fa-fa, fa-fa lokomotywa,
Tak konduktor się odzywa,
Gdy spoczynku przyjdzie chęć —
Stacja Pruszków, minut pięć!

Nucąc więc ową piosenkę — czyż mogłam przypuszczać, że los zwiąże mnie tak silnie z tym ongiś tylko kolejowym przystankiem, osadą kolejarską?

Czy przeczuwałam, że tu znajdę ten „wypoczynek” po kilkutygodniowej podróży znad Wołgi z transportem repatriantów? Przeszły lata, rozszerzyła się skala — ale pozostał — Pruszków.

Toteż gdy po przybyciu do Warszawy 5 września 1921. roku zjawiłam się w kuratorium, a tam między kilkoma szkołami państwowymi (bo tylko w takiej chciałam pracować) zaproponowano mi Pruszków — nie zawahałam się ani chwili i dnia 12 września przeprowadzałam już egzaminy do Gimnazjum Państwowego im. Tomasza Zana (w roku szkolnym 1920/21 istniała już tutaj szkoła średnia, prowadzona przez RGO), w gościnie udostępnionej nam na czas egzaminów Szkole Podstawowej nr 2 (im. Żółkiewskiego).

Aby przeprowadzić te egzaminy do pięciu klas (gmnazjum miało być 8-klasowe, ale w pierwszym roku otworzono tylko klasy od I do V) musiałam udać się do byłej mojej przełożonej, p. Jadwigi Sikorskiej, wówczas dyrektorki gimnazjum im. Królowej Jadwigi, z prośbą o książki, ja bowiem przyjechałam do kraju tylko z dwoma synami urodzonymi w Samarze (dziesięjszy Kujbyszew) i z wielkim zapalem do pracy nauczycielskiej.

A w naszej szkole nie było nic: puste sale — bez ławek, tablic. Wypożyczyłam jakieś wypisy, z których wybrałam dyktanda na egzaminy do klasy II (o Wiśle) i do III (bajka Krasickiego). Tematem do klasy IV był „Pamiętny dzień w moim życiu”. Do klasy V „Moja ulubiona książka”.

Tymczasem do pustych klas przywieziono jakieś stare ławki, odstąpione przez Gimnazjum im. S. Batorego, a pochodzące z IV Żeńskiego Gimnazjum, na co wskazywały odpowiednie rosyjskie cechy.

I zaczęła się praca, do której tak tęskniłam. W moim pojęciu tym ważniejsza, że w miejscowości, gdzie nie było tradycji szkoły średniej, wśród młodzieży, z której wiele rekrutowało się z wychowanków burzy założonej przez RGO dla dzieci repatriantów. Praca ta była więc pracą pionierską, uprawą roli, jeszcze nie dotkniętej plugiem. Dzieci z bursy do pierwszych mrozów przybiegały do szkoły bosy, ale nie głodowały. Przyjemnie było patrzeć, jak podczas dużej pauzy zajadały olbrzymie pajdy chleba ze skwarkami. A jak młodzież ta spragniona była wiedzy! Nie zapomnę nigdy, jak jeden z uczniów najwyższej wów-

czas klasy V przerwał mi wykład z historii języka polskiego słowami: — Jakie to ciekawe, jakie piękne! Nie miałam więc żadnych wątpliwości, że pracując wśród tej młodzieży — jestem pożyteczniejsza dla społeczeństwa niż w jakiejś szkole elitarnej.

Toteż lata płynęły szybko. Szkoła rozwijała się mimo chwilowego kryzysu, związanego z brakiem odpowiedniego pomieszczenia. Nie brakło jednak energii”.

Istotnie, wiele energii i optymizmu musieli posiadać pierwsi pedagodzy z gimnazjum Zana, rozpoczynając nauczanie w bardzo kiepskich warunkach lokalowych, bez żadnych właściwie pomocy szkolnych, nie mówiąc już o pracowniach. Nielatwe życie mieli także pierwsi wychowankowie Gimnazjum Zana, często rozpoczynając naukę po dłuższej przerwie spowodowanej wojną. Na ławach szkolnych zasiadali w 1921 roku także uczniowie świeżo przybyli z frontu, w mundurach wojskowych, bo po prostu nie mieli innych ubrań. Musieli jednak zmienić psychikę, przekształcić się na powrót w sztubaków. Musieli wtłaczać w głowy wielką ilość teoretycznej wiedzy, nierzadko nie popartej ani doświadczeniami, ani obserwacją, ba — często borykając się z samodzielnym zgłębieniem nowego zagadnienia, wykładowy bowiem nie mieli zwyczaj rozpieszczać młodzieży w tamtych czasach, zdarzyło się więc, że po prostu zadawali nowy rozdział, który należało opanować i poprawnie odpowiadać na następnej lekcji. A wymagania były wysokie i za lada jaką nieściskość w odpowiedzi sypały się dwóje.

Atmosferę pierwszych lat istnienia naszego gimnazjum, poprzedzających pierwszą w dziejach Pruszkowa maturę, odtwarzam na podstawie wspomnień kolegi Władysława Stochlaka, maturzysty z 1925 roku.

Dyrektorem gimnazjum od roku szkolnego 1922/23 został Bolesław Jakubowski. Był to pedagog starej daty, hołdujący metodzie wymagań, kar i bezwzględnej dyscypliny. Wdziecznym spadkobiercą tej idei okazał się zresztą także późniejszy dyrektor Zana, pan Ostrowski. Młodzież musiała zatem uczyć się solidnie, co polegało w lwiej części na opanowywaniu pamięciowymadanego materiału, słuchać swych wychowawców na terenie szkoły oraz przestrzegać przepisów szkolnych również poza jej murami.

Rygor dobrych stopni — prócz aspektu ambicjonalnego i zaspakajania szlachetnego głodu wiedzy — miał jeszcze aspekt finansowy. Gimnazjum Zana, jak wszystkie średnie szkoły w okresie międzywojennym, trzeba było opłacać, przy czym czesne wynosiło tutaj, podobnie jak we wszystkich gimnazjach państwowych, 200 złotych rocznie. Zważywszy fakt, że w tamtych czasach dochód w granicach 200—250 złotych miesięcznie był nierzadko podstawą egzystencji całych rodzin, wydatek dwóch setek rocznie był dla niejednego budżetu domowego nie lada obciążeniem. Zgodnie z obowiązującymi przepisami, dzieci urzędników państwowych i zawodowych wojskowych płaciły tylko połowę czesnego; niezależnie od tego szkoła miała prawo zwalniać z części lub nawet z całej opłaty, lecz pierwszeństwo mieli uczniowie legitymujący się co najmniej dobrymi stopniami. Tak więc osiągnięcie jak najlepszych wyników, wiązało się z możliwością ulżenia ojcowskiej kieszeni.

A na początku lat dwudziestych kieszenie w większości przypadków świeciły pustkami i mieszkańcy Pruszkowa nie stanowili pod tym względem wyjątku. Nadto ilość miejsc w gimnazjum była ograniczona. Jeśli zatem ktoś miał notorycznie niedostateczne wyniki, usuwano go.

ze szkoły, przyjmując na jego miejsce jednego z oczekujących na tę okazję. Warunki utrzymania się nie były więc łatwe. Ale i młodzież była twarda. Oczywiście, nie wszyscy mogli sprostać wymaganiom, lecz ogromna większość wyszła zwycięsko z tej próby. Więcej: młodzież nabrała takiego rozpędu do wiedzy, że samorzutnie miała się dyscyplin spoza programu szkolnego: a to muzyki, to ekonomii politycznej, to filozofii. Tak więc w ubogich, ciasnych i niewygodnych murach pierwszej siedziby Zana zamieszkał duch rzetelnej wiedzy i szlachetnej ambicji.

Błądziłby jednak ten, kto uważałby ówczesnych zaniaków za smutne kujony, zgięte od świtu do nocy nad książką, korby bez fantazji i radości życia. Ależ skąd! Młodzież tamtych czasów aż kipiała werwą, humorem, gotowością do kawałów różnego kalibru. Kwitła też tu i ówdzie pierwsza sztabacka miłość, tym bardziej romantyczna, że miała w tamtych czasach posmak zakazanego owocu. Aczkolwiek gimnazjum było koedukacyjne, władze szkolne — z księdzem prefektem na czele — miały za złe, jeśli przydybały parę swych uczniów na popołudniowym, a już nie daj Boże wieczornym spacerze. Trasą tych romantycznych promenad była tak zwana „czarna droga”, nazwa obecnie oficjalna dla drogi biegnącej przez podmokłe łąki nad Utratą wzdłuż toru kolejowego. Jak ktoś nie miał szczęścia, to spacer z ukochaną zatruło spotkanie z belfrem. Nieszczęśnik taki mógł być pewien, że nazajutrz wyrwą go do odpowiedzi i poczęstują tak wrednym pytaniem, że jak amen w pacierzu — legnie! Przeczytajmy ten fragment naszym dzieciom, może poczują się choć trochę zażenowane wspominając własne życie w szkole, usłane wręcz kwieciami!

Mimo wszystkich opisanych tu rygorów, szkoła dbała jednak o rozrywkę dla młodzieży. Do najbardziej upragnionych, najpopularniejszych i — niestety — najrzadszych należały wycieczki. Bliższe i dalsze. W pierwszych latach istnienia gimnazjum było ich kilka: do Warszawy, do Krakowa i do Wieliczki. Imprezy takie, poprzędzane przygotowaniami, radosnym rozgardiaszem i ekscytacją, wyrwały młodzież na kilka dni ze szkolnej codzienności. Po powrocie długo jeszcze obgadywało się na wszystkie sposoby każdą chwilę na wycieczce, każdą przeżyłą przygodę i wszystkie związane z tym wrażenia. Formą odskoczni od poważnego nurtu zgłębiania wiedzy, stanowiły — jak to działa się od wieków — różne psikusy, figle, kawały i chryje.

Wspomina kolega Stochlak, jak w szóstej klasie na lekcji chemii (że też ta chemia od zarania dziejów wyzwała nieprzepartą chęć do jakiejś drakili) ktoś z poczuciem humoru godnym malpizzona wrzucił próbkę z kwasem pruskim do kosza od śmieci. Oczywiście, kłęby dymu, swąd, Sodoma i Gomora! Otwarto okna, katastrofę zażegnano, ale prawie wszyscy uczniowie uciekli i lekcja przepadła, a o to przecież chodziło. Inny żartowniś od siedmiu boleści wykonał na lekcji chemii doświadczenie własnego pomysłu, polegające na wrzuceniu do kałamarza z atramentem okruska sodu. Dał się słyszeć syk, błysnęło, huknęło — a na suficie powstała czarna plama, pomnik dla autora doświadczenia, którego nazwiska nigdy zresztą nie udało się zidentyfikować.

Opierając się w dalszym ciągu na wspomnieniach kolegi Stochlaka, cytuję jeszcze jedno słynne ongiś na całą szkołę wydarzenie. Do grona jego kolegów w siódmej klasie należała między innymi koleżanka Skrzypińska i kolega Zieliński, zwany „Sześcianem”. Otóż było wiadome nie tylko we wspomnianej klasie, ale i w całej szkole, łącznie z ciałem pedagogicznym, że koleżanka Skrzypińska darzy żywszymi

uczuciami kolegę Zielińskiego, czyli Sześciana. Kiedyś „Baran” zadał z matematyki przygotowanie twierdzenia na temat kwadratów. I wezwał do odpowiedzi właśnie koleżankę Skrzypińską, która, jak się okazało, nie umiała powiedzieć nic sensownego o kwadratach. Baran, przeszczepiając ją swoim jowiszowym spojrzeniem, rzekł z niesmakiem: — Siadaj! Dwójka! — A gdy speszona uczennica dreptała na miejsce, dorzucił: — To ty kwadratów nie znasz, a zabierasz się za sześciany?! —

Słowa „Barana”, jak nie trudno się domyślić, przez długi czas obiegały szkołę, będąc źródłem nieustannej uciechy dla wszystkich, nie wyłączając koleżanki Skrzypińskiej i „Sześciana”. Zresztą ten ostatni mógł uważać tę słynną uwagę „Barana” za jego nieświadomy rewanz, bowiem „Sześcian” słynął z umiejętności genialnego naśladowania głosu „Barana”, czym chętnie popisывał się wśród kolegów. Słynny zwrot: — „Nu siadaj! Ty nic nie umiesz z matematyki!” — w wykonaniu Sześciana był niezawodnym środkiem na podniesienie nastroju przygotowujących się do egzaminu dojrzałości pierwszych zaniaków.

A termin matury zbliżał się nieuchronnie. Ośmioklasiści w liczbie dziesięciu osób spoglądali na kalendarz z nadzieją i trwogą, pilnie wkuwając przed czekającą ich próbą. Do pierwszej w dziejach naszego gimnazjum matury przystąpili w 1925 roku: koleżanka Julia Gajkówna, L. Hejmanowski, Ryszard Krygier, Franciszek Lubomirski, Makowski, Stefan Mitrowski, Jan Oźdżyński, Władysław Stochlak („Sówka”), Henryk Szustkiewicz, Józef Zieliński („Sześcian”). Egzaminaturalny nie był w owych czasach bagatelką, zdawało się bowiem aż pięć egzaminów pisemnych: z języka polskiego, z języka obcego, dwa z matematyki, a mianowicie algebrę z matematyką analityczną oraz stereometrię z trygonometrią i wreszcie fizykę.

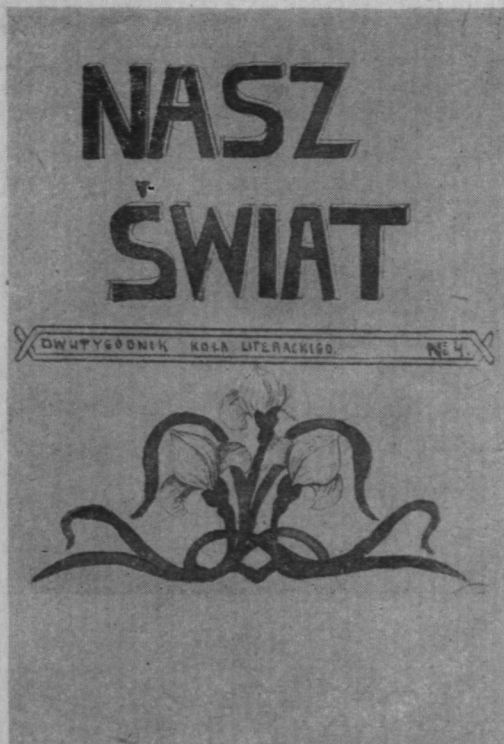
Abiturienti, którym udało się szczęśliwie przebrnąć przez sito egzaminów pisemnych, składali następnie egzaminy ustne z dziewięciu przedmiotów. To była matura! Wybrańcy losu, którzy ją zdobyli, byli pół żywi ze zmęczenia, lecz bezgranicznie wprost szczęśliwi. Świadectwo dojrzałości opatrzone numerem 1 otrzymała koleżanka Julia Gajkiewiczówna, pierwsza w dziejach zaniackich maturzystka. Uroczystość wręczania pierwszych matur w gimnazjum Zana połączono z poświęceniem nowo ufundowanego sztandaru szkoły. Na sztandarze tym wyhaftowano dewizę, będącą owocem długich dyskusji ośmioklasiistów: „Nauką i cnotą dźwignijmy ducha”.

W tym uroczystym dniu, kiedy trzymali w rękach świeżo zdobyte świadectwa dojrzałości, czuli wyraźnie, że istotnie — ducha swego dźwignęli. Wieczorem zaś odbył się tradycyjny bal maturalny z udziałem reprezentantów władz miasta Pruszkowa, na którym przemówienie w imieniu pierwszych w dziejach miasta maturzystów wygłosił kolega Władysław Stochlak.

Nie jesteśmy w stanie odtworzyć treści tego przemówienia, ani opisać wrażenia, jakie wywarło ono na ojcach miasta. Sądzę jednak, że młodzież zaniacka nie zawiodła ich oczekiwania, była przecież pracowita i ambitna, nie szczędząca trudu i podejmująca wiele inicjatyw wykraczających poza obowiązany program szkolny.

Już w pierwszych latach istnienia szkoły powołano do życia organizację młodzieżową, które istniały aż do wybuchu wojny. Była więc Solidacja Mariańska podzielona na Koło Żeńskie i Męskie, nad którą sprawował pieczę ówczesnie wykładający religię ksiądz prefekt. Działała nadto 80 Mazowiecka Drużyna Harcerska nosząc — podobnie jak sama szkoła — imię Tomasza Zana. Powołano też organizację uczniowską, której nadano nazwę Samopomocy Koleżeńskiej. Organizacja ta

działała energicznie i wielokierunkowo, patronując — między innymi — powstawaniu różnych kółek zainteresowania. Stworzono więc koło literackie, dramatyczne, historyczne, krajoznawcze i szachistów. Ambicją Kółka Literackiego było powołanie własnego organu prasowego, który dawałby możliwość wypróbowania własnych sił na niwie prozy i poezji. Zapal w tym kierunku podsycany był, jak to już uprzednio pisałam, przez panią Ostrowską — rozmiłowaną w literaturze ojczyściej. Toteż talenty pisarskie u Zana rodzą się jak przysłowiowe grzyby po deszczu, wypełniając łamy uczniowskich gazetek.



Jedna z najstarszych nosi nazwę „Nasz świat”, a w podtytule: Dwutygodnik Koła Literackiego. Pisemko to powstało prawdopodobnie w 1924 roku, gdyż — jak to wynika z udostępnionych nam źródeł — od tegoż roku datuje się rozkwit prasy zaniackiej. Do dzisiaj zachowały się jedynie dwa zeszyty wspomnianego czasopisma: z datą 29 marca oraz 8 maja 1924 roku. „Nasz świat” pisany był ręcznie, stąd podejrzenie, że użykazywał się w jedynym egzemplarzu, który obiegał czytelniczki. Piszę „czytelniczki”, chociaż — jak wiemy — gimnazjum było koedukacyjne, lecz moim zdaniem męska część uczniów Zana nie sięgała po „Nasz świat”.

Pisemko zawiera bowiem produkcje tak pełne agzaltacji i ociekające sentymentalizmem, że chyba nawet w tamtych czasach żaden chłopiec nie wytrzymałby tak sztucznego i przesłodzonego stylu. Autorkami wszystkich utworów publikowanych w „Naszym świecie” są dziewczęta. Ich pseudonimy, zawarte w „Spisie rzeczy” zeszytu z 29 marca, pozwalają sobie przytoczyć: Żabcia, Miriam, Jadźka, Mazurka, Kama, Nemo. Z wymienionych autorek jedynie Nemo napisała w numerze marcowym felietonik dowcipny, zręczny i stylistycznie normalny. Pozostałe utwory, zarówno proza jak poezja, odtwarzają mniej lub bardziej tragiczne przeżycia, najczęściej na tle wiosennych pejzaży dziennych lub wieczornych.

Oto ostatnia strofa wiersza p.t. „Ja wam zaśpiewam”, z numeru marcowego, pióra „Jadźki”:

Lecz choć mi bólem dyszy pierś dziś cała,
i choć mnie smutek beznadziejny zre,
wy chcecie bym wam o szczęściu śpiewała!
O, nie zawiodę was tym razem! Nie!

Nie trudno się domyślić, że zeszyt „Naszego świata” z 8 maja zawiera artykuł wstępny poświęcony Stasi Ostrowskiej, której imienniny przypadały właśnie w tym dniu. Zapoznajmy się z fragmentem wspomnianego „wstępniaka”, przekonajmy się jak ciężkie jest życie pedagoga, który musi przyjmować wdzięcznym sercem takie oto dowody uczuć kochających uczniów: „...Przed ławkami stoi Ona... ta czarodziejka, co stwarza, co budzi piękno w tych młodych duszyczkach i każe wyrażać uczuciom tylko dobrym, tylko szlachetnym. Ona, smukła niby kwiat, o dobrej, białej twarzytce otoczonej promieniami jasnych włosów, o szafirowych oczach, które patrzyły śmiało i poważnie, a słodko, ujarzmiająco, ujawniając bystrość myśli i stanowczość czynu. O, bo nieskazitelny był Jej charakter... — pisała „Miriam”.

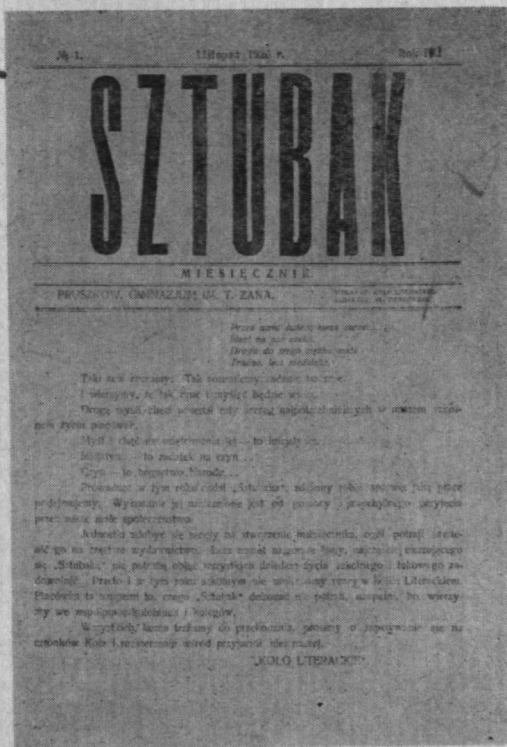
W 1924 roku powstał także miesięcznik „Sztubak” wydawany przez Koło Literackie. Informację, dotyczącą samego faktu powołania do życia tego pisma, znalazłam w szkicu monograficznym naszej szkoły, przygotowanym przez pana Czesława Makowskiego na zjazd zaniaków w 1960 roku. Nigdzie wszakże nie zdobyłam wiadomości, czy „Sztubak” istniał obok „Naszego świata”, czy też przejął od tego ostatniego funkcję organu Koła Literackiego. Druga hipoteza wydaje się najbardziej prawdopodobna, zarówno bowiem forma jak i treść „Sztubaka” odznaczały się o wiele wyższym poziomem, sądzę więc, że „Nasz świat” nie wytrzymałby jego konkurencji. Porównując pierwsze jego zeszyty z 1924 roku z ostatnim, jakim dysponowałam przy niniejszym opracowaniu, a pochodzącym z listopada 1926 roku — zauważyła się chlubny postęp zaniaków w dziedzinie redagowania czasopism.

„Sztubak” z 1926 roku to już prasa z prawdziwego zdarzenia; wydawany drukiem, bez zarzutu pod względem poprawności korektorskiej i chociaż jego układ graficzny budzi zastrzeżenia, gdyż większość prac drukowana jest bez tytułów, co jest swoistym fenomenem, rekompensuje to dość bogata i ciekawa treść. Widać, że redaktorzy pisemka dokładali starań, aby publikacje na łamach „Sztubaka” zawierały problemy mogące zainteresować możliwie jak najszersze kręgi kolegów. Tak więc są tu aktualności z różnych klas, jest trochę poezji, felietonik na temat pracy w szkolnym bufecie, małe „eseje” na temat szczęścia. Gwoli ulżenia obowiązkom współkolegów, praktyczni redaktorzy umieścili „bryk”, czyli dokładne streszczenie „Ślubów panińskich” opracowany przez kolegę A. Dąbrowskiego. Jest także przedruk pracy

Józefa Treliaka, publikowanej na łamach „Kurieru Warszawskiego” w 1888 roku, dotyczącej ówczesnej nowości: powieści „Nad Niemnem” Elizy Orzeszkowej.

Do najbardziej czynnych w redakcji „Sztubaka” należeli następujący koledzy: Bloch (jego imienia nie udało mi się ustalić), Sławomir Cwierzakiewicz, Stanisław Dąbrowski, Józef Kostewicz, Ryszard Łopiński, Maria Piotrowska, Mieczysław Szczepkowski i Jan Uklejski.

Zachowanym do dzisiaj dowodem aktywności istniejącego u Zana Kółka Krajoznawczego jest kwietniowy numer miesięcznika „Orli lot” z 1927 roku, którego stroną tytułową zdobi fotografia „kapliczki w Wrzesinie pod Pruszkowem”.



U dołu tejże strony widnieje uwaga, którą cytuję w dosłownym brzmieniu: „Zeszyt niniejszy wypełniły prace członków Koła Krajoznawczego im. P.E. Strzelckiego przy gimn. państw. im. T. Zana w Pruszkowie”. Na materiał dostarczony przez zaniaków złożyły się cztery artykuły: „Dzisiejszy Pruszków” — Tadeusza Mariana Juśkiewicza, „Z przeszłości Zbikowa (najstarsza część Pruszkowa)” — bez autora, „Pobrzeże górnej Utraty” — Stanisława Krystasiaka oraz „Tow. Akc. Fabryki Ołówków St. Majewski i Ska w Pruszkowie” — Czesława Kowalskiego.

Czasopismo „Orli lot” było organem kół krajoznawczych. Wydawał je w Krakowie od 1919 roku pan profesor Leopold Węgrzynowicz, człowiek niewątpliwie wielce oddany krzewieniu ruchu krajoznawczego, gdyż ze wspomnianego wyżej numeru dowiadujemy się o trwającym konkursie na prace krajoznawcze młodzieżowych kółek. Warunkiem konkursu było wypełnienie numeru pracami na temat regionu czy miasta. Miło stwierdzić, że w tym szlachetnym współzawodnictwie, mającym na celu poznanie uroków ojczystej ziemi, nie zabrakło i zaniaczkiej braci. Szkoda tylko, że nie zachowała się wiadomość, czy zdołali zdobyć nagrodę, lecz lokalny patriotyzm każe mi wierzyć, że kapryśne szczęście uśmiechnęło się do nich, wynagradzając im trud nadprogramowych zajęć, choć i tych obowiązkowych mieli niemało, zważywszy wysokie wymagania szkoły.

Szkoła rychło zyskała opinię placówki o wysokim poziomie nauczania, a pracujący tu wykładowcy zyskali renomę wykraczającą nawet poza granice kraju. Dowodem tego jest zachowany w aktach szkoły list Kuratorium z dnia 22.VIII.1927 roku zawiadamiający pana Grochowskiego, nauczyciela w Gimnazjum im. T. Zana, że na prośbę delegacji Rzeczypospolitej Polskiej na Chiny udziela mu dalszego urlopu płatnego na rok szkolny 1927/28, w celu umożliwienia pełnienia obowiązków nauczycielskich w polskim gimnazjum im. H. Sienkiewicza w Charbinie. Jest także pismo Kuratorium skierowane do dyrektora Gimnazjum im. T. Zana angażujące p. Grochowskiego jako nauczyciela z IX grupą uposażenia w Polish High School Chinese — Post. New. B. Town 105 — Charbin— China.

W maju 1929 roku powstało z inicjatywy wykładowcy języka łacińskiego, pana Stanisława Moczulskiego, Koło Klasyczne, które w połowie lat trzydziestych przeżywało swój rozkwit, organizując imprezy, spotkania i spektakle popularyzujące wśród młodzieży kulturę i sztukę antyku. Była to piękna inicjatywa, owo spojrzenie na starożytność nie od strony przymusowego wykuwania słówek łacińskich, lecz przez pryzmat jej niepowtarzalnych wartości, urzekających i godnych poznania.

Pierwsza matura stanowiła swego rodzaju nobilitację gimnazjum im. Tomasza Zana, lecz nie uwalniało to — niestety — od piętrzących się kłopotów. Największą bolączką szkoły był zbyt ciasny, nieodpowiedni lokal. Z finansami zresztą też nie było najlepiej. Dyrektor Jakubowski, całym sercem oddany szkole i jej sprawom, dokonywał heroicznych wysiłków, aby w tych niezwykle ciężkich warunkach utrzymać porządek i jako tako przystroić wnętrza. Tak więc z nastaniem wakacji pan dyrektor Jakubowski odwieszał ciemny dyrektorski garnitur i przywdziewawszy roboczy fartuch osobiście malował ramy okienne i drzwi, a nadto wykonywał dyrektorskimi rękami wszelkie naprawy stolarskie, bowiem rzemiosło to stanowiło jego pasję, hobby — jak byśmy to dziś określili.

Jednakże ani ofiarność pana dyrektora Jakubowskiego, ani zapał wychowanków nie mogły pokonać głównej przeszkody, jaka w miarę upływu lat udaremniała coraz dotkliwiej prawidłowy rozwój szkoły. Była nią nieprawdopodobna ciasnota, brak pomieszczeń niezbędnych dla normalnego toku zajęć szkolnych. Dla scharakteryzowania warunków, w jakich przebiegała nauka w pierwszych latach istnienia gimnazjum Zana, odwołajmy się do relacji kolegi Czesława Makowskiego, który pisze, że jedna sala spełniała wówczas rolę gabinetu fizycznego,

pracowni przyrodniczej, sali gimnastycznej dla dziewcząt i miejsce spotkań różnych kół.

Pokój nauczycielski mieścił się na poddaszu, posiadał jedno tylko okno i niski sufit, lecz za to odznaczał się ogromną rozpiętością temperatur, latem bowiem było tu gorąco jak w piecu chlebowym, zimą zaś dokuczał dotkliwy chłód.



Inny uczestnik wydarzeń w Gimnazjum Zana przy ulicy Narodowej, kolega Władysław Skirucha, tak opisuje swój pobyt w ósmej klasie:

„Jeżeli chodzi o artyzm urządzenia wewnętrznego tej naszej schedy, to jest ona niemal idealnym prostopadłością, którego zasługą jest to, że obok okna, pieca i pary drzwi, ma aż dwa wyłomy, o których najbardziej genialny archeolog napewno powie, iż są najczystszy z istniejących tworów matki natury, tworem zresztą, na którym znać „niszczący ząb czasu”. Pierwszy z nich, mieszczący się dziwnym trafem koło podłogi w bocznej ścianie, odgrywa rolę wiecznie produkcyjnego bez najmniejszego nakładu energii działającego wentylatora, który umożliwia naszym przemiłym „emancypantkom” rozkoszowanie się w całej pełni urokiem prawdziwego górskiego powietrza (zwłaszcza jeżeli temperatura zewnętrznego otoczenia nie jest mniejsza od jakichś —15°C).

Drugim jest urządzenie, które powinno znaleźć uznanie w całym naszym szkolnictwie. Znaczenie zaś tej instytucji sufitowej (gdyż mieści się na suficie) polega na tym, że zmusza ona każdego właściciela głowy, znajdującej się na polu jej działania, do intensywnej uwagi (a ta tylko jest podłożem każdej pracy), uwagi nie tyle może na treść wykładu, ile raczej na opanowanie wszelkich odruchów tak kończyn, jako też i języka. Każde bowiem najmniejsze nawet wychylenie się ze „stanu spoczynku” powoduje natychmiastową karę, polegającą na zrywaniu się co najmniej ćwierćmetrowej warstwy otynkowania sufitu, która z przyspieszeniem kilkunastu metrów na sekundę uderza w biedną zaiste głowę zdumionego maturzysty...”

Dyrekcja szkoły wszczęła więc energiczne starania o nowy budynek. Miasto jednak nie należało do zamożnych, było szereg innych potrzeb do pilnego załatwienia, a nadto nie wszyscy we władzach miejskich rozumieli znaczenie szkoły średniej dla kulturalnego rozwoju Pruszkowa. Zaczęły krążyć pogłoski, że gimnazjum ulegnie likwidacji lub przeniesione zostanie do Żyrardowa, który dysponował budynkiem i chciał mieć średnią szkołę ogólnokształcącą. Tymczasem na stanowisku dyrektora szkoły zaszła zmiana: Bolesław Jakubowski objął gimnazjum im. St. Wyspiańskiego w Mławie. Ster nawy zaniackiej powierzono z dniem 1 marca 1928 roku Leonowi Ostrowskiemu. Nowy dyrektor rozpoczął swą kadencję od kołatania do serc i kies radców miejskich o stosowny budynek dla gimnazjum. Niestety, skutek był jak najmniej pożądany. Władze miejskie, specyficznie pojmując problem zmniejszenia ciasnoty panującej w gimnazjum, zlikwidowały klasę najmłodszą, czyli czwartą, z dotychczas istniejących pięciu: od czwartej do ósmej włącznie. Liczba uczniów spadła do osiemdziesięciu i widmo likwidacji szkoły zdawało się nabierać cech realizmu.

Szczęściem znaleźli się ludzie, którzy rozumieli ogrom straty wynikającej z pochopnej likwidacji szkoły, która zdążyła już zyskać uznanie społeczeństwa, dając piękne efekty, mimo bardzo kiepskich warunków. Do energicznej akcji w obronie gimnazjum Zana przystąpił przede wszystkim Komitet Rodzicielski szkoły kierowany przez pana Chełmińskiego. Szańce obronne walczących o sprawę gimnazjum zostały niebawem wzmocnione przez szereg osobistości pruszkowskich, które stały się oświadcznikami znalezienia nowego lokum.

Tę zbawienną dla szkoły ideę lansowali: burmistrz Józef Cichecki, vice burmistrz Stanisław Berent, ławnik Józef Kwasiborski, dyrektor Leon Ostrowski i wieloletni, ogromnie dla szkoły Zana zasłużony, skarbnik Koła Rodzicielskiego Franciszek Morawski. Pod ich presją moralną, za ich natchnieniem i dzięki ich persfazy Rada Miejska sięgnęła wreszcie do kiesy i zakupiła budynek przy ulicy Klonowej numer 4, który — po dokonaniu koniecznej adaptacji — awansował do rangi nowej siedziby gimnazjum im. Zana. Mając w perspektywie bliskie objęcie nowego gmachu, dyrekcja gimnazjum w roku szkolnym 1929/30 nie tylko przywróciła zlikwidowaną uprzednio klasę czwartą, lecz powołała jeszcze równaległą czwartą klasę, słusznie przewidując, że wraz z nowym, obszernym lokalem przybędzie także wychowanków.

Wraz z rozpoczęciem prac nad przysposobieniem nowego gmachu dla zaniackiej młodzieży, odmienił się duch panujący w szkole. Nikt już więcej nie utyskiwał na ciasnotę pomieszczeń, gdyż perspektywa niedalekiej przyszłości, oferującej i pedagogom i uczniom upragnioną przestrzeń, słodziła skutecznie ostatnie miesiące w starej siedzibie. To też cieszyła się młodzież, cieszyło się ciało pedagogiczne, cieszyli się

rodzice. Wyrazem radości tych ostatnich, radości ujętej zapobiegliwie w cugle rozsądnej troski o jak najlepsze wyposażanie nowo adaptowanego budynku, Koło Rodzicielskie przy gimnazjum Zana zorganizowało w dniu 1 marca 1930 roku koncert-bal. Protektorat nad imprezą objęli: wojewoda warszawski inżynier Stanisław Twardo i kurator okręgu szkolonego warszawskiego Grzegorz Zawadzki, zaś w skład Komitetu Honorowego weszły niemal wszystkie ówczesne znakomitości Pruszkowa, znane z obywatelskiej gotowości w służbie społeczeństwu.

Tak więc pierwsza, nieoficjalna inauguracja gmachu odbyła się szumnie i wesoło, przynosząc profit szkolnej kasie, której potrzeby w tym momencie były bardzo duże.

Następnym faktem, cementującym po wsze czasy budynek przy ulicy Klonowej 4 z gimnazjum Zana, były egzaminy maturalne, które w maju 1930 roku odbyły się w nowej siedzibie, przynosząc plon w postaci świadectw dojrzałości dla szczęśliwej trzynastki abiturientów.

Tradycyjny bal maturalny odbył się tegoż roku 14 czerwca, również w nowej siedzibie szkoły.

We wrześniu zaś nastąpiło ostateczne objęcie gmachu czyniąc rok szkolny 1930/31 przełomowym w dziejach zaniackich.

NARESZCIE W NOWYM GMACHU

„Dziś, kiedy jesteśmy nareszcie w nowym gmachu, zawrze na nowo życie we wszystkich organizacjach szkolnego społeczeństwa” — pisał kwartalnik „Swit” w numerze z września 1930 roku. Wspomniane czasopismo było — jak wynika z winiety tytułowej — wydawane staraniem Koła Historyczno-Literackiego i spełniało rolę oficjalnego organu szkoły w miejsce uprzednio wydawanego „Sztubaka”.

Jest więc oczywistym, że na pierwszej stronie wspomnianego numeru „Switu” widnieje duża fotografia budynku przy ulicy (wówczas Klonowej, aktualnie: I. Daszyńskiego) pod numerem 4, budynku stanowiącego uwieńczenie starań i spełnienie marzeń zaniackiej społeczności.

Pani Ostrowska tak oto wspomina radosny moment zyskania tak potrzebnej dla rozwoju szkoły przestrzeni:

„...I oto w roku szkolnym 1930/31 Gimnazjum mieści się już przy ul. Klonowej (Daszyńskiego).

Klasy — każda w innym stylu (łowickim, kaszubskim, zakopiańskim itd.), biblioteka liczy koło 3 tysięcy tomów (nie było ani jednej książki w 1921 r.). Pracownie: biologiczna, fizyczna, chemiczna, robót ręcznych (w sąsiednim budynku); gabinet lekarski i dentystryczny. Zapał do pracy nie gaśnie”.

Istotnie, zapał, który w warunkach ulicy Narodowej mógł być podsycony tylko ogromnym optymizmem, ma nareszcie realne podstawy, warunki do rozwijania inicjatywy. Budynek, mówiąc szczerze, nie jest żadnym „wystrzałem” architektonicznym w naszym rozumieniu tego słowa. Lecz my jesteśmy już zblazowani cudami różnych „tysiąclatek”, budynków szkolnych będących wynikiem współpracy całego legionu